

Mary Jones – cz.II

[część I](#)

Nadeszły Święta Bożego Narodzenia i w ślad za tym ferie szkolne dla naszej Mary i jej towarzyszek; przerwa w nauce byłaby dla niej przykra, gdyby nie to, że zamierzała cokolwiek zarobić w owym wolnym czasie, ażeby za te pieniądze nabyć Biblię.

Nie zaniedbując bynajmniej swych domowych obowiązków, chwyciła się jednak różnych sposobów, ażeby od czasu do czasu oddać przysługę sąsiadom i zapracować tym na parę groszy: tu dziecka doglądać, podczas gdy matka prała, tam znowu uezbiarać troche suchego opału lub też połatać starą odzież dla gospodyni przeciążonej pracą – takiego rodzaju zlecenia wynagradzano chętnie drobną monetą; u tej biednej ludności miejscowej były prawie wyłącznie miedziaki w obrocie.

Każdy grosz, każdy szeląg wrzucała Mary do dużej skarbonki, sporządzonej przez ojca.

Skarbonka ta była przymocowana do gzymsu tak, że dziewczynka mogła jej dosięgnąć i ilekroć wkładała tam swe uczciwie zapracowane miedziaki, serduszko jej napełniało się radością; niejednokrotnie też obliczała, ile jeszcze potrzeba do owej sumy niezbędnej do zakupu Biblii.

Równocześnie dobra pani Evans, która jak wiemy, w tajemniczoną była w pragnienie Mary, podarowała jej pięknego kogutka i dwie kury, ażeby tym darem przyspieszyć nieco ziszczenie jej marzeń. Biedne dziecię na próżno szukało słów mogących godnie wyrazić nieopisaną wdzięczność i radość. – Kochane dziecię – rzekła pani Evans – chciałabym ci chętnie dopomóc do nabycia Pisma Św., albowiem cię miłuję i czuję się szczęśliwa, gdy mogę ci sprawić przyjemność. Jak tylko kury zaczną znosić na wiosnę, będziesz sprzedawała ją jako swoją własność, przez co przysporzysz sobie trochę grosza, o co ci przecież chodzi... Wiem już, jaki znajdziesz na to użytek – dodała dobra kobieta z uśmiechem.

Zresztą pierwszy srebrniczek, który Mary włożyła skwapliwie do puszek, ukazał się jeszcze, zanim kury zaczęły nosić. Nie możemy pominąć milczeniem tego małego zdarzenia.

Razu pewnego wracała z sąsiedniej wioski, dokąd ją ojciec posłał dla załatwienia sprawunków, gdy noga jej zawadziła o jakiś przedmiot leżący na drodze. Schyliwszy się, podniosła duży, skórzany pugilares. Gdy jeszcze rozmyślała, do kogo mógłby należeć, nadszedł pewien

człowiek, który poruszał się wolno i zdawał się czegoś szukać; był to szwagier pani Evans, farmer Gresoes.

– Dzień dobry Mary – powiedział – Wracając z jarmarku zgubiłem sakiewkę i...

– Pański pugilares! – wykrzyknęła dziewczę – właśnie jakiś znalazłam; czy to ten? – Ten sam, moje drogie dziecię, jestem ci bardzo wdzięczny. Ale poczekaj – dodał widząc, że dziecko odchodzi – chciałbym ci udzielić jakiejś drobnostki, ażeby cię wynagrodzić czy też raczej, ażeby ci podziękować.

To mówiąc, dał Mary pół szylinga. Uszczęśliwiona pobiegła do domu i wrzuciła ów wartościowy krążek srebrny do puszek, gdzie prawdopodobnie długo jeszcze miał leżeć wspólnie z pospolitymi miedziakami.

Ferie świąteczne minęły, wobec czego Mary wzięła się do dalszej nauki w szkole i rozpoczęła ponownie swe odwiedziny na fermie w celu studiowania Biblii i przygotowań do szkółki niedzielnej. Całe tygodnie jednak upływały, a Mary nie mogła niczego dodać do swego skarbu w puszcze.

Przydarzyło jej się raz pewnego, że wracała o późnej porze w sobotę; matka jej była trochę zaniepokojona z tego powodu, gdyż wiedziała, że Mary zwykła chodzić ścieżkami. Polne te drożyny były bardzo dogodne we dnie, nocą jednak mogły być nieco zdradliwymi, zwłaszcza w zimowej porze, kiedy to zmrok zapadał wcześniej.

Jonesowie z widoczną niecierpliwością oczekiwali powrotu córki. Wybiła już ósma godzina, a dziecka jeszcze nie było.

– Nasza Mary bez wątpienia już wraca – odezwała się matka, ażeby przerwać nieznośne milczenie – już ciemno. Spóźniła się bardzo; oby jej nic złego się nie stało.

Wstała, otworzyła drzwi i nadśluchiwała.

– Bądź spokojna, kochana żono – prawil mąż – Wszemchnocny, który natchnął jej serce pragnieniem dobrego, strzeże każdego jej po ruszenia.

Równocześnie dały się słyszeć lekkie kroki i weszła Mary z wyrazem głębokiego zadowolenia. Oczy jej błyszczały radością, co też natychmiast udzieliło się też i rodzicom, rozjaśniając ich posępne oblicza.

– A więc, moja dziecino, czegoś się dziś nauczyła? – zapytał ojciec. – Czyś przygotowana już do swego zadania na niedzielę?

– Tak, ojcuzłku, a co za piękne zadanie! Ono to właśnie



obok pani Evans zatrzymało mnie tak długo.

– Jak to? – zapytała matka, myśmy się bardzo niepokoiłi z tej przyczyny, moja pieszczołko.

– Na próżno byłeś w obawie, miła matulu, Bóg wiedział, co czyniłam i On chronił mnie od złego. O, ojczu, im więcej czytuję z Pisma Św., tym bardziej pragnę poznać Pana. Nie zaznam spokoju, dopóki nie będę miała Biblii. Ale, że długo na to jeszcze czekać muszę, przyniosłam kawał z książki pani Evans ze sobą.

– Co powiadasz, Mary? – Tyś chyba tego nie uczyniła – wykrzyknęła Jones przełęczniona.

– Mam to na myśli, co przyniosłam w głowie i w sercu, droga matko – dodała dziewczeczka cichym głosem.

– I jakież to ustę? – pytał ojciec.

– Siódmy rozdział z Ew. św. Mateusza. Zadanie sięgało do dwunastego wiersza, było jednak tak lekkie i piękne, że nie poprzestałam na tym i nauczyłam się tego rozdziału w całości. Mogę go nawet wygłosić.

Jakby za skinieniem różdżki czarodziejkiej ojciec wstał od krosien i usiadł w kąciu przy ognisku, matka natomiast zabrała się do pończochy, a Mary, usiadłszy na stołku, recytowała znany nam rozdział od początku do końca bez zająknięcia, stosując ton, który dawał do poznania, do jakiego stopnia deklamatorka rozumiała i ceniła swój przedmiot.

– Droga małżonko – mówił Jones do swej zacnej połowicy, gdy dziewczynka poszła spać – córce tej nie będzie dano umrzeć, ażeby nie miała poprzednio uczynić doniosłych rzeczy dla chwały Pana. Gdy wymawiała wiersz z Ew. Mateusza 7:7 „Proście, a będzie wam dano”, widziałem, jak oczy jej błyszczały, a policzki nabierały koloru i wtedy dopiero należycie zrozumiałem, jak bardzo ceni Księgę Ksiąg. Jestem przekonany, że ona w swych modłach usilniej prosi o własną Biblię, niż nam się zdaje i będzie z pewnością kiedyś wysłuchana. Tak, nasze dziecię będzie posiadało własną Biblię.

Upłynęło sześć lat od czasu, kiedy to Mary Jones włożyła do puszki swój pierwszy grosik, długich sześć lat pracy, wytrwałości i cierpliwego wyczekiwania, gdy pewnej soboty dziewczę, wracając wieczorem z fermy, podbiegło ku rodzicom z radością, którą zaledwie mogło pohamować.

– O matko! O ojczu! – zawołała – patrzcie! Pani Evans wypłaciła mi właśnie należność; jest tego o wiele więcej, niż oczekiwałam i obecnie posiadam już dość do nabycia Biblii. Czuję się tak szczęśliwa, że nie mogę temu uwierzyć!

Ojciec Jones przystanął wśród pracy i wyciągnął ręce ku córce: – Tak! – rzekł – Niech będzie Pan nasz pochwalony! On ci zaszczepił owo pragnienie w sercu. On ci użyczył odwagi i cierpliwości w wysiłkach twych dążących ku ziszczeniu marzeń. Oby ci On błogosławił, kochane dziecię.

Kładąc uroczyście rękę na głowie dziewczęcia, dodał cichym głosem: – I będziesz rzeczywiście błogosławioną!

– Lecz powiedz mi, kochany ojczu, gdzie mogłabym kupić Biblię? Nie ma ich tu, ani w Abergynolwyn.

– Nie wiem, Mary; ale nasz duszpasterz zapewne ci powie. Możesz go jutro odwiedzić w tej kwestii.

Nazajutrz udała się Mary do księdza i wypowiedziała się w swej sprawie, mającej dla niej tak ogromne znaczenie. Odpowiedź jednak brzmiała, że Biblii nie ma nigdzie w pobliżu do nabycia (tłumaczenia walijskiego, które ukazało się przed rokiem), chyba że u księdza Charlesa, mieszkającego w miejscowości Bala. Wyraził przy tym przypuszczenie, że wszystkie Biblie, sprowadzone przezeń z Londynu, mogą być już bądź to sprzedane, bądź też od dawna przyręczone osobom innym.

Chociaż to bynajmniej nie przyczyniało się do podniesienia ducha i jakkolwiek biedna Mary wróciła zasmucona do domu, nie traciła jednak otuchy. W każdym bądź razie, zamierzała udać się do księdza Charlesa w Bali, ażeby przekonać się, czy nie pozostała tam jakaś Biblia dla niej.

Podróż, którą miała odbyć, była długa. Prawie dziewięć mil trzeba było przebyć, a Mary nie znała drogi. Nadto nigdy nie widziała księdza Charlesa i czuła pewną nieśmiałość słysząc tyle o jego sławie. Żadne jednak przeszkody nie mogły zachwiać jej niezłomnego postanowienia.

Rodzice ociągali się wprawdzie początkowo z udzieleniem swego pozwolenia, aby dziecko miało samo wybrać się w tak długą podróż – zwłaszcza pieszo – stopniowo jednak ustąpili jej naleganiom. Sąsiadka zaopatrzyła ją w torbę podróżną, w którą miała włożyć ów skarb, o ile mogłaby go zdobyć.

[część III](#)

Redakcja
R-
„Straż”